

Małżeństwo i prostytutka.

Odczyt L. Belmonta, wygłoszony w sali Filharmonii dn. 9. Grudnia 1908 r.

W S T Ę P.

Kochani słuchacze!

Genialny filozof niemiecki Schopenhauer zapytuje: „Czy jeżeli od podstawy wieży do jej szczytu jest 500 stóp, to od szczytu do podstawy będzie mniej?”

A w interpretacji jego to ma znaczyć: „czy, jeżeli ludzie, stojący niżej odemnie, odczuwają moją wysokość, to ja sam nie mam prawa jej stwierdzać? Dlaczegoż to ma być niedozwoloną zarozumiałością?”

A genialny poeta Goethe, jako pendant do tego dodaje: „Nur die Lumpen sind bescheiden“. „Tylko szubrawcy są skromni!”

W myśl wielkiego filozofa i wielkiego poety pozwolę sobie być nieskromnym. Pozwolę sobie pochłubić się przed wami pewnym znakomitym pomysłem, pewną moją zasługą.

O! nie tem, że podam wam dzisiaj własną oryginalną teorię na temat stosunku pomiędzy instytucjami małżeństwa i prostytucji. Bo to jest drobnostka!... Zaslugę swoją widzę w czemś innem.

Ja wymyśliłem doskonały afisz!... Tytuł, który z apelnia doszczętnie Filharmonie!...

Z moich bolesnych doświadczeń i obserwacji wysnułem bowiem pewny wniosek, że przeciętnej „inteligentnej“ publiczności warszawskiej nie zdołam ściągnąć na żaden odczyt o poezji i filozofii — że ona nie pyta: „kto mówi?” — ale: „o czem będzie mowa?” — że nie zawierzy nigdy nawet oklaskiwanemu nieraz gorąco prelegentowi, iż on sam najlepiej wie, jaką ofiarę ma złożyć w danej chwili na ołtarzu jej uwagi, że nie odgaduje ona, iż pod najskromniejszym z pozorów i najcenzuralniejszym zwłaszcza tytułem niesie on jej skrycie rzeczy ogromnej wagi aktualnej sub specie aeternitatis t. j. pod kątem wieczności, że byle jakąś przyciągnie na swój odczyt tłumy, jeżeli przyrzeknie mówić o sprawach, mniej związanych z mózgiem, niż z móżdżkiem i z nerwami wrażeń dolnych...

A ponieważ zmęczyło mnie wynajmowanie wielkiej sali Filharmonii dla „ścisłego kółka słuchaczy“ — ośmieliłem się tedy wyzyskać na ten raz pociągający tytuł: „O upadłej kobiecie“, część II „Małżeństwo i prostytutka“, aby wam mówić o... filozofii i poezji!...

No! ażebyście się nie czuli oszukanymi przeze mnie, będę mówił z obowiązku, włożonego przez tytuł, dla przyzwoitości... i o prostytucji!...

I.

Istnieją dwa sposoby rozumienia rzeczy. Jeden, który wyjaśnia jej ruch rozwojowy — jej powstanie i przeobrażenia w czasie aż do chwili obecnej.

Drugi, który stara się włączyć w jej istotę wewnętrzną — jej sens i znaczenie w obecnym stanie, uchwycić wpływy, które wywiera i którym ulega, i określić jej domyslnie cele.

Pierwszy z tych sposobów, badający ewolucję rzeczy, możnaby nazwać *historycznym*.

Drugi, poszukujący treści filozoficznej, — *intuicyjnym*.

Pierwszy — zwolna, przez analizę faktów, otrzymywanych na drogach indukcji, dąży do syntezy.

Drugi — metodą dedukcyjną próbuje zgadnąć syntezę i dopiero następnie szuka jej potwierdzenia na drodze analizy i indukcji.

Na pozór zdawałoby się mogło, że ten drugi sposób nie jest dość naukowym — że intuicja wiedzie nas na manowce, a tylko badanie przedmiotu na drogach jego ewolucji doprowadzą do wyników pozytywnych.

Przecie nie rzeknie się intuitywnego poznania, odgadnięć istoty rzeczy, ten, kto dobrze zrozumiał konieczne braki metody ewolucyjnej, kto zrozumiał, że jakkolwiek głęboko sięgaliśmy w przeszłość, nie sięgamy nigdy samego zarodka, ostatecznego źródła rzeczy, oraz, kiedy chodzi o to, co rozwijało się przez całe stulecia, nie chwytamy nigdy wszystkich szczebli rozwojowych, bo pamięć historii jest ograniczoną. Kiedy chodzi o rozjaśnienie zagadki rzeczy, których początek jest ukryty we mgle, a rozwojowe linie tu i owdzie zatarte, wreszcie kres niewiadomy, — nie można się dziwić niecierpliwości myśli, która próbuje zapłacić luki historycznego doświadczenia i stwarza hipotezy.

O nienaukowości tej metody niepodobna mówić, jeżeli intuicję naszą uzgadniamy z ostatnimi wynikami nauki, z analizą faktów, czerpanych z doświadczenia, jeżeli nie pozwalamy sobie na domysły ryzykowne w sferze, rozjaśnionej już przez naukę, jeno tam gdzie panuje mrok zupełny, gdzie nawet blask mistycznych światełek może być pożądanym, jako pierwsza próba rozjaśnienia wielkich i mrocznych zagadek.

Otóż w dzisiejszym moim wykładzie mam zamiar wyjaśnić zagadkę *prostytucji* i *małżeństwa* przeważnie tą drugą metodą — uchwycić ich sens najgłębszy, ideową istotę obojga, ich stosunek wewnętrzny w życiu współczesnem — na mocy intuicji. Będzie to jakby metafizyka kwestyi płciowej,

będą tu okazane podstawy fizjologiczne instytucji socjalnych wraz z ich powiązaniami psychologicznymi — nie ulękę się nawet pewnej mistyki w dziedzinie zjawisk, niewytłomaczonych przez naukę, natomiast pilnując się wszędzie gruntu realnego tam, gdzie został on już przez naukę pozytywną zdobyty. Sądzę, że tym sposobem nie zaprowadzę was na niebezpieczne manowce chorobliwej frazeologii, dam jeno własną hipotezę, którą wolno wam będzie po wysłuchaniu i przemyśleniu jej krytycznym bądź przyjąć, bądź odrzucić.

A idę tą drogą dla tego, że jestem przekonany głęboko, iż sama metoda pozytywno-historyczna do wytłomaczenia socjalnej zagadki płciowej nie wystarcza.

Można bowiem stwierdzać, że prostytucja jest starą, odwieczną instytucją, można wiązać naszą uliczną prostytucję ze świętą prostytucją w chramach Babilonu i Egiptu, z opłatami na rzecz kapłanek Wenery i okazywać analogie pomiędzy „świętą” rozpustą wieków minionych i nieświętą rozpustą naszego czasu. Ale tylko badacz powierzchowny kontentować się będzie analogiami zewnętrznymi sprzedawcy ciała za pieniądze, nie odczuje głębokich różnic ideowych w czasach i wyprowadzać zechce wprost prostytucję teraźniejszą z dawniejszej — nie uwzględniając olbrzymich zmian warunków ekonomicznych i przeobrażeń poglądów moralnych, które nie pozwalają na rodowód prosty, na ordynarne przerzucanie mostów rzekomej ewolucji.

Podobnież można wykazać, że pierwotna grabież kobiet zastąpiona zostaje z czasem przy wzroście porządku plemiennego przez małżeństwo kupne; że nabywanie żony za pieniądze powoli przyucza mężczyznę szanować swój nabytek-kobietę; że następnie rodzice dary otrzymane od zięcia oddają córce dla jej nowego gospodarstwa, stwarzając pierwszy posag z opłaty męzowskiej; że później utrwała się zwyczaj darów wzajemnych pomiędzy zięciem a teściem (każdy daje i bierze); — że wreszcie, kiedy kobieta przestaje być wartościową, produkcyjną robotnicą, lub częstokroć roboczem bydlęciem męża, kiedy mężczyzna staje się ekonomicznie bardziej aktywnym, a kobieta bierną dystrybutorką i mądrą zarządzczynią jego zarobków dla rodziny, znika dar zięcia na rzecz teścia, utrzymuje się tylko dar teścia na rzecz zięcia (teść czuje się teraz zwolnionym od ciężaru utrzymania córki, a nie stratnym na odejściu z domu naturalnej robotnicy, i za to płaci): — innemi słowy pojawia się dzisiejsza forma małżeństwa z tak częstym posagowem za

żoną, lub wreszcie z odrzuceniem posagu gdy mężczyzna stanowi sam wystarczającą na utrzymanie rodziny siłę ekonomiczną. Ale ten cały wywód historyczny, pomimo swojej głębokiej rzeczowości i subtelnej umiejętności w odkryciu szczebli ewolucyjnych instytucji małżeńskiej — nie wystarczy bez komentarzy, zaczerpniętych ze sfery wyobrażeń religijnych i miar moralnych, do wyjaśnienia wszystkich czynników psychologicznych, które złożyły się na uszlachetnienie stosunku mężczyzny do kobiety i ku podniesieniu małżeństwa na wyżyny sakramentu.

Boć jeżeli zadawałniam się luznemi analogiami, to można również nader łatwo wyprowadzić dzisiejszy *prostytucyjny* handel ciałem kobiecym z dawnego *małżeńskiego* kupna kobiet, uwzględniając tylko jeden cel — fizyczny, takiego targu. Oraz możnaby z drugiej strony dawniejsze małżeństwa *poligamiczne* i *poliandryczne* przyrównać do naszych stosunków *prostytucyjnych* przez uwzględnienie jeno liczby osób, biorących udział w stosunku płci.

A przecie niepodobna byłoby wyobrazić sobie większego pomieszania rzeczy nad takie zwalanie na kupę istotnie małżeńskich instytucji, wielomeżstwa, lub wielożeństwa, z hańbą współczesnej prostytucji, albo również formalnego i uświęconego przez zwyczaje plemienne daru na rzecz rodziców z ohydny datkiem wciskany w ręce jakiejś niegodziwej matki — kuplerki, kupczącej dziś swoją córką.

Bo małżeństwo jest wszędzie tam, gdzie zapala się promień wewnątrz rosnącej duszy ludzkiej i idzie na spotkanie z odświeżeniami ogniami zwyczajów społecznych, gdzie te dwa światła: przywiazan indywidualnych i aprobaty społecznej zlewają się harmonijnie — choćby ten promień był jeszcze bardzo błady i niepewny, a te pochodnie zwyczajowe dymią barbarzyńsko-naiwnie!

A prostytucja jest wszędzie tam, gdzie brudny żar zmysłowych pożądań spotyka się z fosforycznemi światełkami zgnilizny socjalnej — przy brzęku złota, rzucanego w twarz nędzy wraz ze śliną wzgardy, albo przyjmowanego przez rozpustę z wesolą pogardą dla dawcy: wszędzie, gdzie te dwie fale świetlne — nieuszlachetnionych uczuciem pożądań i piekielnych ogni hańby społecznej — spotykają się, tworząc zjawisko, zwane w fizyce interferencją, t. j. tworząc punkt mroczny, ciemność stosunku, ukrywanego w cieniu społecznym.

* * *

A zatem na łamanej linii urządzeń społecznych, na której znajdujemy równocześnie instytucję małżeństwa i instytucję prostytucji, punkt załamania się znajduje się w tem miejscu, gdzie równocześnie przepada uszlachetnione uczucie i aprobatę społeczną z jednej strony: a tutaj kończy się małżeństwo; gdzie rozpoczyna się ordynarna żądza przelotna i haniebny targ o chwilę płatnej miłości: a tu rozpoczyna się prostytucja.

Wszelako ze względu na to, że ocena niewidzialnych głębin duszy ludzkiej dla przeciętnych oczu socjalnych jest niezmiernie utrudnioną, opinia publiczna akcentuje mocniej widome oznaki obiektywne. A dla tego prawo to wyraża się w skróceniu tak: gdzie kończy się aprobatę społeczną w formie bądź błogosławieństwa kościelnego, bądź przyjętego przez prawo państwowe ślubu cywilnego — kończy się małżeństwo; rozpoczyna się zaś prostytucja tam, gdzie na szalę uciechy płciowej pada z brękiem ordynarnym daktek pieniężny.

Po za aprobatą społeczną w jakiegokolwiek zwyczajowej formie, bądź religijnej, bądź cywilnej — nie masz małżeństwa; a dlatego żaden związek wolnej miłości nie jest z socjalnego punktu widzenia małżeństwem, cokolwiekby myśleli o tem ludzie, nie umiejący myśleć! I nie masz prostytucji tam, gdzie przejawia się mniej lub więcej stały stosunek uczuciowy mężczyzny i kobiety, a wyborowi nie towarzyszy: nie poprzedza go i nie utrzymuje umowa pieniężna.

Tak przedstawia się rzecz ze strony obiektywnej, t. j. z punktu widzenia oceny społecznej według oznak widomych, powierzchownych, jedynie uchwytnych w masie.

Wszelako niewątpliwą jest rzeczą, że ocena według oznak subiektywnych, o ile te dają się ująć w wypadkach indywidualnych, posiada nietylko prawo, lecz obowiązek do przeprowadzenia pewnych analogij, stanowiących poprawkę do ryczałtowego szacunku dla wszystkich związków ślubnych i ryczałtowego potępienia dla wszystkich nieślubnych. Jakkolwiek bowiem małżeństwo młodej kobiety, wychodzącej za mąż za bogatego starca dla jego fortuny, obiektywnie znajduje się po tej stronie linii socjalnej, po której rejestrują się małżeństwa — na takie małżeństwo, zawierane w celach pieniężnych, pada fatalny cień analogji od stosunków prostytucyjnych i wewnątrznie takie małżeństwo nosi charakter prostytucyjny. Odwrotnie, stosunek „wolnej miłości“ — zawarty ze szlachetnego pociągu dwojga dusz, daleki od intere-

su pieniężnego, otechniony wzajemnym szacunkiem, zwłaszcza jeżeli przetrwał mnóstwo prób, jeżeli posiada stałość, jeżeli towarzyszy mu ta wierność, jakiej wymaga kościół od dwojga małżonków, — zbliża się mocą analogji psychicznej do małżeństwa, chociaż nie jest niem formalnie i nie stanowi instytucji socjalnej. A ten charakter będzie on nosił, chociażby i w danym wypadku mężczyzna utrzymywał kobietę, bo ten rodzaj stosunku ekonomicznego towarzyszy i małżeństwu istotnym. Taki pomyslny wypadek, odbija od tysiącznych wypadków tak zwanej „wolnej miłości“, będących zwyczajnem uwiedzeniem kobiety i kończących się zwykle nieszcześciem kobiety i nędzą dziecka; odbija też od wielokrotnego rozdzwiku dusz o charakterze niezgodnym, szarpiających błogosławione łańcuchy małżeńskie i przeklinających godziny zaślubin. I podniosłością swoją wynosi się on po nad linię instytucji socjalnych — w sferę czystej psychiki. Nie zgadzając się z temi, którzy taki uszlachetniony związek „wolnej miłości“ okrzykują, jako instytucję *antysocjalną*, uważam go za instytucję w obecnym okresie rozwojowym *asocjalną* — t. j. bez szerszego znaczenia społecznego; prościej mówiąc — to nie jest wcale instytucja, jak nie jest instytucją uwiedzenie kobiety pod pozorami wolnej miłości i rzucenie jej następne z dzieckiem na bruk, co już jest poprostu... podłością...

Zresztą zawily problemat „wolnej miłości“ — jako problemat przyszłościowy związku równouprawnianych w miłości dwojga dusz, męskiej i kobiecej — ten piękny problemat, również fałszywie sądzony przez tradycyjne świętoszkowstwo, jak i przez krzykactwo pseudo-postępowe, przez oburzenie jednostronne i zachwyty jednostronne — ten problemat musi pozostać po za granicami dzisiejszego odczytu, bo ramy jego są zbyt szczupłe, a temat nasz i bez niego zbyt bogaty.

Na dzisiaj interesuje nas inny problemat: szacunku opinji dla małżeństwa — szacunku tak wielkiego, że w fałdach jego ukrywa się nawet zimne małżeństwo z wyrachowania i pretendujące do czci publicznej; pogardy dla prostytucji — pogardy tak wielkiej, że tonie w niej bez ratunku nawet dusza kobiety, urzeczona czarem miłości, przejętej skrucą i pożądającej oczyszczenia z upadku.

A jakkolwiek daleką jest odemnie myśl idealizowania wszelkiej kategorii małżeńskiej bezrozwodowego stosunku dusz, które odepchnęły się, chociaż powiązała je stula — i jakkolwiek blizkim mi jest ów sen-

tyment Chrystusowy, który powstrzymuje kamienie, padające z rąk faryzeuszów na jawnogrzesznice — mam zamiar wytłomaczyć na mocy idei, osiąganych intuitywnie, i stwierdzonych metodą historyczno-przyrodniczą, że naogół, z punktu widzenia ewolucji ludzkości w drodze ku jej ideałom, i ten szacunek, którym otoczono małżeństwo, jako sakrament święty, i ta deklasacja, na którą skazana jest prostytutka, stanowiły czynniki wysoce dodatnie, bez których rozwój ludzkości nie dałby się pomyśleć.

Równocześnie zaś wytłomaczę dziejową konieczność tej psychologii społecznej, która, gardząc prostytutką, toleruje ją t. j. obyczajowo-prawnie uznaje pewną instytucję, na której kładzie przecie stempel hańby; oraz wyjaśnię etyczną doniosłość tej psychologii, która w dziełach wszechświatowej literatury przykładą rozpalone żelazo do czoła małżonków, zawierających śluby z interesu, i przeciwnie — podnosi nierządnicę w rodzaju świętej Magdaleny, nieszczęśliwej Fantiny Wiktora Hugo i biednej Soni Dostojewskiego.

Droga, którą was poprowadzę, będzie tyleż zawiłą, co zajmującą. Ponieważ złożę się na nią splot mnóstwa naukowych ścieżek, wychodzących z wielu dziedzin przyrody i filozofji, historii i etyki, nieraz wyda się wam, że jesteśmy od celu bardzo daleko, że zbaczamy na manowce. Ale w rezultacie przekonam was, jak pewnie doprowadzi ona nas do poszukiwanego celu.

Zaczynam.

II.

Genialny autor „Życia owadów“ Fabre opowiada:

Pewien naturalista przyniósł do domu z wycieczki w celach naukowych kilka sztuk martwych chrabąszczy i jał je badać. Przyszło mu na myśl przepuścić przez nie prąd galwaniczny. I stał się świadkiem „cudu“. Niektóre chrabąszcze ożywały pod działaniem prądu i poczynaly chodzić po stole. Inne, bardziej zeschłe, leżały nieruchome. Po całym szeregu wycieczek i badań uczony przekonał się, że owe zmartwychwstające owady, wszystkie, pochodziły z jamek, wygrzebanych i zasypanych przez osy z gatunku sfeksów. Na miękkich zwłokach tych chrabąszczy znajdowały się jajeczka os.

Już dawniej uderzyła uczonego różnica pomiędzy zeschłymi zwłokami chrabąszczy, które znajdował na powierzchni, a temi, które wygrzebywał z ziemi. Sądził był

dawniej, że osy posiadają dar konserwowania mięsa dla swoich potomków. Mnie-mał, że żądlami swemi, przy zabiciu owadu, napuszczają jakiś sok w martwe ciało zdobyczy, zachowujący je w stanie świeżości. Teraz zmartwychwstanie owadów zadawało kłam tej hipotezie. Należało znaleźć inne rozwiązanie. Tajemnica wkrótce została odkrytą.

Oto naturalista przekonał się, że sam jest w stanie wprowadzać chrabąszcze w stan letargu, śmierci pozornej. Potrzebował tylko nakłuć je w pięciu miejscach — tam, gdzie znachodziły się najważniejsze węzły nerwowe, ganglje. Chrabąszcze popadały w stan paraliżu.

Obserwując następnie przez szkła powiększające osy sfeksy, napadające na chrabąszcze, uczony dostrzegał teraz, jak napastnice chwytają zręcznie swoją zdobycz przy pyszczkach, jak z zadziwiającą szybkością i pewnością zadawały cięcia w pięć określonych ściśle punktów — w ganglje, a następnie unosiły sparaliżowane owady do swoich kryjówek, składały na nich jajka i zagrzebywały je starannie.

Oto jest jedna z cudownych a niepojętych dla nas tajemnic instynktu, wobec której Fabre wykrzykuje: „Żaiste, osy te działały tak, jakgdyby znały znakomicie anatomję chrabąszczy“.

Pomyślcie teraz, że ten cały trud podejmowany jest dla pokolenia, które urodzi się przyszłego lata, lub przyszłej jesieni, kiedy już matki-osy nie będą żyły. Przedejwna pieczołowitość i zamięgliwość o świeże pożywienie dla niewidzialnej dziatwy! Czuła opieka nad spadkobiercami, którzy nie wiedzieć nie będą o spadkodawcach, ale podobny spadek pozostawia przyszłości.

Dałem wam tylko jeden wymowny przykład, lecz przyroda na każdym kroku przedstawia nam tysiące podobnych świadectw nadzwyczajnej dbałości żywych istot o zachowanie swojego gatunku. A wobec tych przykładów wydaje się, że cele osobnicze, myśli o egoistycznym zadowoleniu, błędna wobec olbrzymich trudów i przewidujących poświęceń na rzecz potomstwa w świecie zwierzęcym!...

d. c. n.



Małżeństwo i prostytutka.

Odczyt L. Belmonta, wygłoszony w sali Filharmonii dn. 9 Grudnia 1908 r.

(Ciąg dalszy).

W obliczu tej ciągłości pokoleń, tej miłosnej opieki nad zarodkami potomków, tego związku rodziców i dziatwy, tej nieprzerwalnej ideowej linii, która przechodzi przez wszystkie pokolenia, tej tajemniczej żądz odradzania się w nowych indywidualnie, ale dawnych gatunkowo kształtach — zrozumiałem staję się to pojęcie, które wprowadza Schopenhauer do swojej filozofii miłości, pojęcie „geniusza rodzaju”. Zaprawdę, zdaje się, że jest coś niewidzialnego, przeciwko bardziej realnego, niż przemijające żywoty indywidualne: jakiś geniusz gatunkowy, który wiecła się kolejno we wszystkie pokolenia, żyje we wszystkich i nie umiera, jakkolwiek one wszystkie skazane są kolejno na zagładę. Jest coś, co żyje w rodzicach, dzieciach, wnukach — co żyje w masie, w plemieniu, we wszystkich okazach danego gatunku, co jest nieśmiertelnym, dopóki dany gatunek zachowuje się, jakkolwiek przejawia się ciągle w istotach indywidualnie śmiertelnych!

Tak ściśle naukowe obserwacje dają prawo metafizykowi mówić o jednym z celów natury — o dążności do zachowania gatunku, o wielkiej *woli do życia*.

Przyjrzyjcie się teraz lasom, zamieszkanym przez wszelkiego rodzaju zwierzyne — i polom, na których bzykają mnogie owady — i wodom, zapelnionym przez mnogość ryb — spojrzycie w niebo, pod którym unoszą się gwarne stada ptasie — i na dno mórz, gdzie żyją miljarde niemych mięczaków i chadzą potworne kraby — przypomnijcie tumany komarów nad tundrami północy, uniemożliwiające żywot człowiekowi — i szarańczę, która osiada gęstą wielomilową zasłoną na łąkach wschodu — pomyślcie o infuzorjach w otaczającym nas powietrzu — i o mikrobach, przenikających w nasz organizm — zajrzyjcie pod ziemię w kretowiska i w kanały ślepych glist — i pod kory drzew, rojne robactwem i w kokony sklejonych liści, pełne gąsienic — przejdźcie myślą przez ludne miasta... i wśród bujnego bogactwa form roślinnych, na niwach i w gałach, w brzdach polnych i w gniazdach ogrodów, w stawach i w oceanach, wszędzie badajcie zarodki i nasiona bytu — a wszędzie oczom waszym ujawni się powszechna

wola życia. Mówi o niej każde ziarno, które kiełkuje pod ziemią i rośnie ku światłu — i każde jaje ptasie — mówi o niej lot pszczoł i motyli, obsypanych rozrodzonym pyłem kwietnym — mówi o niej zabiegliwość każdego stworzenia, które trzdzi się nad zbiorem pokarmu dla swego potomstwa — mówi o niej cała natura wołaniem do wszelkiego stworzenia: „plódźcie i rozmnażajcie się!” — A trawy łąk i gąszcze leśne, wody i powietrze — wszystko to pełne jest miłości, która spaja stworzenia znikomym uściskiem i rodzi żywe owoce ..

Wola do życia — tak?... Ale równocześnie wszędzie — śmierć i zniszczenie! Te same trawy, pełne miłości, napelnione są mordem. Wszystko tu walczy o byt. Śród kwiatów polnych rozgrywają się sceny niemych rzezi. Sęp krąży nad synogarlicą, spada na nią i zapuszcza w nią swoje szpony. Wilk dusi jagnię. Pisk zarzynanego zwierzęcia roznoszą echa leśne. Dziecioty, stukając, wydłubują robaka na uczę dla swojej dziatwy. Drobne ptactwo pożera drobne owady, a samo staję się łupem silniejszych stworzeń..

Przejdźcie nad brzegiem mórz, zarzuconym tysiącami muszli, powłok stworzeń ongi żyjących — zbadać kredowe skały, koralowe rafy — te cmentarze miliardów pokoleń drobnych istot, niegdyś żywych...

Pomyślcie o trudach, koniecznych dla wychowania nowych pokoleń — i o niedogodnych warunkach, które uniemożliwiają rozwój złożonym jajeczkom — o tem wszystkim, co w zarodku gubi niepogoda, wczesny podmuch zimy, srogi wichur, lub apetyt innego stworzenia — ba, czasem obżarstwo dzieciobójcy, samca, którego matka — samica nie zdołała odpędzić od gniazda, pełnego jaj lub piskląt...

Jeszcze jeden obraz: przypomnijcie sobie te smaczne czarne ziarenka, wydobywane z wnętrzości jesiotrów, ów kawior, zjadany we wszystkich eleganckich jadłodajniach Europy. Toć to wszystko są rybnie jajeczka — które mogłyby żyć, gdyby natura nie dała ludziom pełnomocnictwa na ich wyniszczenie...

Powszechna wola do życia — i te zapaśy śmiertelne wszystkich stworzeń pomiędzy sobą... ten ustawiczny pęd ku istnieniu i to ustawiczne zniszczenie!... A jednakże ta wola do życia góruje nad wolą śmierci... — jak to się dzieje?

Na to możliwą jest tylko jedna odpowiedź.

W buchalterji przyrody przychód przewyższa rozchód — jeżeli nie w każdym

momencie, nie dla każdego gatunku — (bo nieraz zaraza się rozsroży, nieraz ginie cały gatunek) — to na każdy większy okres czasu i dla ogółu żywych istot. Debet życia przerasta kredyt śmierci.

Gospodarstwo natury, mojem zdaniem, cechuje olbrzymia *rozrzutność*. Niewątpliwie, gdyby nie pożeranie jednych stworzeń przez drugie, gdyby nie niespodzianki nie-pogody i skrzyżowania wielorakich sił — niektóre płodne gatunki wypełniłyby ziemię i wody i uniemożliwiłyby życie innym stworzeniom. Ziemia mogłaby się stać spadkiem szarańczy, a w następstwie pustynią. Wody wypełniłyby się płotkami, gdyby nie pożerały ich szczupaki, a potem stałyby się zgnilizną zdechłych ciał rybich. Ale właśnie w przewidywaniu zniszczenia, grożącego od innych stworzeń i od zmiennych warunków klimatu, a wogóle wobec trudności rozwoju mnóstwa istot, przechodzących nader misterne przeobrażenia w życiu embryjonalnem, w pierwszych stadjach, i wobec trudności poszukiwania pokarmu i niebezpieczeństw polowania na inne twory, natura radzi sobie w ten sposób, że rozrzuca w niezmiernej obfitości nasiona i zarodki życia. Tu przewidzianem jest z góry, że olbrzymia ilość zasiewu zmarnieje — że część zarodków stanie się łupem szkodników z innego gatunku, część nie znajdzie warunków koniecznych do rozwoju, część zginie, zaledwie obudzi się do bytu, — a tylko pewna cząstka rozwinię się pomysłnie, uniknie napastników, znajdzie środki do życia, przetrwa zwyciężko walkę o byt i przed zgonem zdąży wydać i zabezpieczyć zarodki swojej gatunkowej przyszłości. Tylko taka mnogość posiewu gwarantuje gatunkowi ostanie się przy życiu. Gdzie niema potrzebnego plusu, gatunek, mimo wysiłków swojej woli do życia, skazany jest na zagładę. Ustąpi pola innemu, posiadającemu dar wyższy zabiegowej siewności, płodniejszy instynkt rodu.

Ten sposób działania przyrody nazywam rozrzutnym, nieekonomicznym. Słowem, uznając zachowanie życia za cel natury, uważam za jej środek do tego celu — *rozrzutność posiewu*.

Tu uważam za stosowne uczynić pewne zastrzeżenie. Wystrzegam się nazywania tego sposobu ślepym, nierozumnym. Bo i cóż my wiedzieć możemy o rozumie natury? Twierdzić, że jej obliczenia są błędne — byłoby naiwnem zuchwalstwem. Bo nie znając ostatecznych celów natury, ani jej celów specjalnych co do każdego gatunku stworzeń — zastosowując do niej nasze ludz-

kie, arcyludzkie pojęcie celu, które naturze, jako całości może być zupełnie obcem — jakżeż ważylibyśmy się krytykować jej rachunki, jej gospodarcze sposoby?!

Więc tylko biorąc rzeczy porównawczo, mierząc wielkość natury naszą małą miarą ludzką, a nie mając innych miar po nad nasz rozum, mamy prawo skonstatować, że *jeżeli* natura dąży do zachowania pewnego gatunku, to wydaje nasiona jego życia w obfitości, przewyższającej znacznie ilość osobników, które będą powołane do życia i dojrzeją. Z naszego punktu widzenia ten rodzaj gospodarstwa jest nieekonomiczny, jest sprzeczny z ideą oszczędności, którą wypracował rozum człowieka, a którą zresztą sam zastosowuje tylko zwolna i z móżdżem w gospodarstwie prywatnem, a tem wolniej w społecznem. Zresztą mądrość oszczędzania wysiłków twórczych dla uniknięcia nadprodukcji, nie wyklucza bynajmniej innego charakteru mądrości — robienia zapasów na wypadki nieprzewidziane, choćby miały one się zmarnować. Są tu zatem dwa rodzaje mądrości, które charakterystycznie odbijają się w kontraście dwóch przysłów: „co zanadto, to niezdrowo” i „od przybytku głowa nie boli”. Otóż natura, jak gdyby postępuje przy rozplodzie według tej drugiej metody — „przybytku”, jakby licząc na to, że co będzie niezdrowem „zanadto”, to bądź zginie, bądź posłuży dla konsumpcji innego gatunku.

W każdym razie sądzienia natury za jej „nierozum” powinniśmy się wystrzegać, gdyż jeżeli dobrze rozważymy wszystkie nasze sądy o działalności przyrody, przekonamy się rychło, że sądzimy ją zawsze naiwno-egoistycznie, z punktu naszego ludzkiego pożytku; o całości jej ksiąg buchalteryjnych, o bilansie otwarcia i o bilansie zamknięcia jej rachunków, nie nie wiemy, bo one toną w głębiach nieskończonego czasu za nami i przed nami.

Jak śmiesznie na przykład w podręcznikach zoologii rozprawiamy o tem, że dany gatunek ptaków jest niezmiernie „pożyteczny z przyrodzenia”: zjada szkodliwe dla naszej roli owady; i nie czujemy, że popadamy w zabawną sprzeczność. Boć przecie te pożyteczne ptaki nie mogłyby istnieć, gdyby nie istniały te szkodliwe owady, które służą im do utrzymania, a te ostatnie nie mogłyby się uchować, gdyby nie wyjadały cząstki naszych pożywnych roślin. Niejednemu dziecku naiwny pedagog wbił do głowy „przyrodzoną” pożyteczność żab i szkodliwość pewnych owadów, zapominając, że nie potrzebowalibyśmy owych pożytecznych pomocników, gdybyś-

my nie posiadali szkodliwych nieprzyjaciół, którzy podtrzymujących byt. Jeżeli by żaby umiały się modlić, jak my: „chleba naszego powszedniego daj nam, Panie!“ — usłyszeliśmy, że modlą się o to, aby Bóg rozmnażał szkodliwe dla nas robactwo.

Ten zadziwiający cykl współzależnych istnień, pożerających się kolejno — a zda się, tworzących zamknięte koło biesiadników, bo robaka zjada ptak, ptaka zwierzę, zwierza leśnego człowiek, człowieka robak — spleta się w zagadkę, które umysł nasz nie potrafi objąć. Bo jakkolwiek, gdy mowa jest o każdym danym gatunku, zachowującym byt, mamy prawo konstatować *plus* rozrzutności, to jeżeli ogarnąć ogół stworzeń, jeżeli wziąć pod uwagę, że zarodki, nasiona i jajeczka jednych istot służą za pokarm niezbędny dla drugich, że w cyklu przeobrażeń natura roślinna posługuje się kwasem węglowym, wydychanym przez zwierzęta, a natura zwierzęca tlenem, wydawanym przez liście — to może okazać się, że tu debet i kredyt są uzgodnione ściśle, że wszystko służy sobie nawzajem i jest czemuś innemu potrzebne, słowem, że —

pod pozorami rozrzutnej obfitości ukrywa się niedostępne ludzkiemu oku doskonałe obrachowanie.

Bo zaprawdę, czy zdolni bylibyśmy do ścisłych obrachowań, do tworzenia formuł algebraicznych, gdyby samo niebo w ruchach swoich słońce i planet nie tętniło wspaniałym porządkiem matematycznym. Myśl Newtona nie stworzyła sama, ale odcyfrowała tylko formuły algebraiczne, zawieszone w bezmiarach przestrzeni i regulujące ruchy gwiazd!...

Zaiste, czyli tylko człowiek jest mierniczym świata, czyli on sam tylko waży słońca? Czy nie jest wszystko we wszechświecie zmierzone? Czy na naturze nie widnieje napis Danielowy: Mane, tekel, upharsim (zmierzone)!...

Głębokie poczucie niemocy naszego rozumu podyktowało mi kiedyś następujący teksametr (um. w N° 34/35 „Wolnego Słowa“).

WYMIERZONE.

Mądrze przestrzeń i czas wymierzyła myśl pracująca..
Jadę na statku i wzrok po szerokiej puszczam zatoce,
Ponad szarością wód, po wybrzeża het siniejące...
Wiem, że zatoki szerz wymierzono zdawna dokładnie,
Linij pobrażnych skrzęt wykreślając starannie na mapie..
Patrzę: na wodzie tam kolosalna pracuje machina.
Piasek dzwigając z dna szeregami ziemioczerpaczek.

Otóż i morska głęb wymierzona, poznana jest ściśle;
Płytkiem wydało się dno i już praca usuwa przekodę. —

Kędyś w oddali lśni ostrzegawczo morska latarnia.
Zważcie: i światła jej pęd wymierzony jest przez człowieka...

Ba! wśród obłocznych sfer zapaliły się gwiazdy dalekie;

Chyży tych światel blask swoją miarę powie-
dział już myśli...

Jedziem — i łono wód pruje koło parowej
machiny,

Ryje pienisty ślad.. Słyszę fali plusk bezustanny.
Patrząc: miarowy ten dźwięk wymierzony też
został sumiennie:

Jego napięcie i ton wyraziła już cyfra badacza..
Nadto i moja myśl, co ogarnia tę liczby cudowność.

Pewien zużywa czas, a ten czas, co jest myśli
potrzebny,

Miarę swą zdradził już subtelnościom metody
badawczej...

O! wszakże musi być Ktoś, co też mierzy ludz-
kiego geniuszu

Wiecznie pracowną moc, nieustrudzone szlachetne
wysiłki,

Myśli potężny żar w bezustannej pogoni za
prawdą,

Tryumf i niemoc dusz, które szarpia zasłony ta-
jemnic,

Straszną oblędu głab' co pochłania nieszczęsne
geniusze!

Zapewnie! — tak woła głęboka tęsknota metafizyczna ..

Ale niewspółmierność naszego małego rozumu z wielkim rozumem przyrody — niemoc odgadnięcia jej planów ostatecznych i zrozumienia jej sposobów — ta „inność“ jej sposobów działania, która wydaje się ślepą grą przypadkowych sił wobec naszych rozumnych i celowych zabiegów, podyktowała Rodociowi następujące westchnienie — piosnkę, stanowiącą kwiatek doskonałej ironii:

Idylla maleńka taka:

Wróbel polyka robaka,

Wróbla kot dusi niecnota,

Pies chętnie rozdziera kota,

Psa wilk z lubością pożera,

Wilka zadławia pantera.

Panterę lew rwie na ćwierci,

Lwa człowiek; a sam po śmierci

Staje się łupem robaka:

Idylla maleńka taka!

W tem ironiczmem świetle poglądów na naturę, w prawie naszego uczucia do sceptyzmu względem jej zdolności rachunkowych, kiedy jej tajemniczym *Iksom* przeciwstawiamy wyraźne zasady naszej matematyki, Pytagoresowe tablice mnożenia i prawa buchalteryi włoskiej — tkwi podstawa do skonstatowania *rozrzutności* natury, oczywiście z rezerwą dla wszystkich skreślonych przez nas zastrzeżeń.

.....

A równocześnie przy wszystkich zastrzeżeniach co do braków naszego rozumu, — porównywując go ze ślepą w oczach naszych grą sił natury, a zwłaszcza z działalnością wszystkich innych stworzeń żywych, kierujących się instynktem, mamy prawo rzec z dumą, że *człowiek jest najbardziej ekonomicznie działającym stworzeniem przyrody*. Oczywiście, nie jest on pod tym względem żadną doskonałością, ale to pewna, że on jeden w całej przyrodzie istot żyjących posiada świadomość, zdolną do obrachowań. On jeden w przewidywaniu celów swoich, zdolny jest wymierzyć mniej więcej ilość zasiewu i obliczyć mniej więcej ilość owoców, a zachować pomiędzy nimi pożądaną dla siebie proporcję.

W przedziwny sposób nakreślił Huxley tę przeciwstawność pomiędzy naturą, a człowiekiem, która czyni z człowieka istotę rozumną i etyczną. Odmalował on opuszczony sad, w którym działają same siły przyrody: jest tu ogromna bujność roślin — ale to bujność jednostajna — pewne chwasty zagłuszają inne rośliny — zanikają barwy mnóstwa gatunków — panoszy się jeden koloryt — wszystko tu płacze się dziko — chaotycznie — zgnilizna zmarłych roślin nie daje się wydobyć krasie nowonarodzonych — pobliska rzeka nanosi mul i grzebie zieleność — wszystko przybiera wygląd surowej posepności. A przecie, niedawno, gdy działała tu pracowita ręka człowieka, był to czarowny ogródek — wyrwano, wypielono chwasty — obcięto karłowate gałęzie — wyniesiono zeschłe liście — kwitły tu mnogie gatunki róż — i szlachetne drzewa, niosące słodkie owoce — pośród zielonych trawników bieleły się piękne, równo ogrodzone świerki — był to widok ujmującej krasy — pełnia harmonii; mniejsza obfitość, za to większy dobór roślin; na miejscu nadmiernej masy jednakich chwastów oszczędny umiar szlachetnej różnorodności. Ustąpił człowiek, który pilnował rozwoju pewnych indywidualności roślinnych, a natychmiast natura zniszczyła kulturę ogrodu i zapełniła go jednostajną obfitością najławniej mnożących się roślin, bo najmniej wymagających zachodu i obywatelskich się bez zabiegliwości czulej ręki ogrodnika.

I tu zmuszony jestem znowu zrobić zastrzeżenie, chociaż wiem, że dla słuchaczy mniej inteligentnych takie zastrzeżenia zacierają prostotę linii ideowych odczytu i utrudniają ujęcie myśli zasadniczych. Ale co robić?! wszakże, nie wstępując na katedrę

w celach popularyzacji komunałów i prawd uznanych, lecz dzieląc się ze słuchaczami wynikiem własnych, skomplikowanych rozmyślań, mam na widoku zawsze słuchaczy najbardziej inteligentnych. Tych boję się oszukać nawet na milimetr, a dlatego wolę czynić dygresje i osłabiać moc własnych tez, niż miałbym suggestjonować ich fałszem uproszczonych linii w dziedzinie zjawisk niesłychanie zawiłych.

Więc zastrzeżenie moje polega na tem, że ten kontrast, który malujemy pomiędzy naturą a człowiekiem, należy pojmować nader względnie. W samej rzeczy człowiek nie jest stworzeniem antynaturalnem — on sam jest naturą, tylko naturą uświadomioną, jest szczytowym punktem natury, jest tem, do czego ona sama dążyła przez łańcuch stworzeń organicznych. Więc na człowieka — pomimo szerokiej linii psychologicznej, na której rozkłada się jego działanie, pomimo jego wybryków przeciw naturze, zapoznania jej celów, błędnej idealizacji pewnych pierwiastków duszy i niebezpiecznego niszczenia innych — należy spoglądać, jako na myśl przyrody, jako na stworzenie, pełniące mniej lub więcej jej cele we wszechświecie.

Człowiek nie jest zjawiskiem przypadkowym w naturze, więc i rozum jego nie jest przypadkiem, stojącym po za naturą i mogącym się jej przeciwstawić zwycięzko. Nie przychodzi on na świat bynajmniej po to, aby narzucać naturze nowy porządek, stanowiący jego widzimisię. Przeciwnie, natura na pewnym punkcie rozwoju uczuwa potrzebę jego porządkującej działalności. Jej siły przełamują się przez pryzmat jego świadomości, aby lepiej wypełniły się jej tajemnicze dla nas cele. Bo albo ona sama nie posiada żadnych celów, a wtedy i my nie możemy posiadać żadnych, (lub posiadamy tylko subiektywne, których słuszności nie możemy niczem zmierzyć i dla których nie mamy prawa spodziewać się zwycięstwa); albo też niepodobna uznawać natury za bezmyślną, choćby dla tego, że człowiek, jako jej prawe dziecko, posiada myśl i — mniej lub więcej świadomie — jest plenipotentem, wykonywającym plany natury, a w rezultacie ostatecznym nie może się jej oprzeć.

.....

d. c. n.



Małżeństwo i prostytutka.

Odczyt L. Belmonta, wygłoszony w sali Filharmonii dn. 9. Grudnia 1908 r.

Wszelako śledząc stopniowe narastanie świadomości we wszechświecie, powolne przejścia od działań instynktu do akcji rozumowej, różnice psychiczne pomiędzy coraz to wyżej uorganizowanymi stworzeniami, możemy uznać, że człowiek, jakkolwiek posiada te same cele, co i natura, przez różnicę organizacji podąża do nich nowymi, własnymi, specyficznymi ludzkimi sposobami.

Na tym szczytowym punkcie, jakim jest człowiek, znajdujemy świadomość szczęścia, która posiada analogię z rozkoszą motyla, uwijającego się wśród kwiatów i świadomość niewoli, która posiada analogię ze smutkiem zwierzęcia, umierającego z tęsknoty w klatce. Znajdujemy ten sam instynkt samozachowawczy, który właściwy jest wszelkiemu stworzeniu na ziemi, ale obok niego spostrzegamy rzecz nową — świadomość śmierci, obcą, jak się zdaje, wszelkiemu innemu stworzeniu.

Znajdujemy w rezultacie tej świadomości rzecz przedziwnie nową, możnaby rzec cudowną, arcyłudzką — zdolność do samobójstwa, której nie posiada żadne inne stworzenie, co cierpi na tej ziemi. Ale tej samozagładzie zawsze towarzyszy bądź rozpacz okropna, bądź szalony wysiłek energii, które przeważyć mają wściekłą moc instynktu samozachowawczego.

Dalej człowiekowi właściwy jest, jak i wszelkiemu innemu stworzeniu, instynkt płciowy, dążność do zachowania swojego gatunku, ów geniusz rodzaju, który wiąże swoiście wszystkie pokolenia jednogatunkowych stworzeń. A zarazem człowiek tak samo, jak każde inne stworzenie, podlega temu złudzeniu, o którym mówi Schopenhauer, że pożąda uciechy płciowej, jako osobistego szczęścia, a mimowoli służy przez to celom zachowania gatunku. Tak samo, jak każde inne stworzenie mężczyzna kocha, ażeby płodzić, a kobieta kocha, ażeby rodzić, i z rozkoszą miłości zabiega około owocu swojego łona, ażeby podtrzymać życie swojego gatunku na ziemi.

Nie może przeto człowiek wyzwolić się w całej masie od nakazów instynktu zachowania gatunku i nie może zniszczyć w sobie potrzeby uciechy płciowej, która jest środkiem natury do zmuszenia go, aby działał dla jej celów — przedłużenia życia ludzkiego przez szeregi pokoleń,

Lecz świadomość jego, przez pryzmat której przełamują się prawa natury, nadaje, jak to zaraz zobaczymy, nowe zabarwienie jego instynktom. Ostają się podwaliny fizjologiczne, przybierając tylko pewne modyfikacje w zgodzie z różnicami wyższej organizacji. Natomiast zmienia się wraz z rozwojem kultury jego psychologia miłości, t. j. instynkt płciowy z jego rozkoszą nabiera bogatszych, bardziej uduchowionych tonów i piękniejszych, idealniejszych barw. A równocześnie odmieniona socjologia uspołecznionego człowieka poszukuje nowych własnych sposobów ku utrzymaniu gatunku w doskonalszych formach indywidualnych.

Zaraz zobaczymy, że w tej ewolucji występuje na plan 1-y rozumowa zdolność człowieka do oszczędzania energii, do obliczeń i przewidywań doskonale celowych, do zachowywania proporcji pomiędzy akcją i rezultatem — tak różna od rozrzutnej i nieekonomicznej działalności pozostałej natury...

W tem świetle zarysuje się przed nami znaczenie małżeństwa, oboczne znaczenie prostytucji i nowy sens miłości.

Wcześniej jednak winniśmy zatrzymać uwagę na fizjologicznej roli mężczyzny i fizjologicznej roli kobiety w stosunku do zachowania rodzaju.

III.

Czem jest mężczyzna?

Jest on aktywnym rozsiewcą życia.

Czem jest kobieta?

Jest ona biernym gruntem do przyjmowania i ochrony nasion życia.

Ta aktywna rola mężczyzny i bierna rola kobiety odzwierciedla się nie tylko w jego mocniejszym temperamencie i w jego usposobieniu zaczepnem, a w trudniejszym do rozgrzania i słabszym temperamencie kobiety, oraz w jej usposobieniu obronnem. Odbija się ona jeszcze w tem, że przerywanej przypadkowości żądz mężczyzn odpowiada fizjologicznie stała fizyczna gotowość kobiety — bo gdyby przerywana możność miłości była jednakowo przypadkową z obu stron, mogłyby te przypadki nie harmonizować ze sobą w czasie.

Odbija się dalej ta różnica roli aktywnej i biernej w tem, że muskulatura słabszej naogół kobiety usposabia ją przeciw większą siłą niektórych mięśni do obrony przeciw niepożądanym atakom. Nakoniec odzwierciedla się ta różnorodność roli obu płci w fakcie biologicznym — w wędrówce embrjonu męskiego ku jajeczku żeńskiemu, a nie w posuwaniu się ze strony przeciwnej.

Idźmy dalej:

Mężczyzna niewątpliwie nie został stworzony przez naturę do monogamji. Tworząc mężczyznę, natura, jak zawsze, miała na widoku zapewnienie mu możności szerokiego posiewu. Przypomnijcie sobie tych patryarchów, którzy wytwarzali liczne potomstwo ze swojemi niewolnicami. Przypomnijcie tego króla judzkiego, który miał siedemdziesięciu synów oczywiście z licznymi żonami. Jak wszędzie natura postępowała tu według swojego pierwotnego sposobu działania. Gwarantowała sobie mnogość stosunków, t. j. obfitość posiewu na wszystkie strony, aby być pewną, że przynajmniej część posiewu się uda i rodzaj ludzki nie zaginie. Może dlatego plemiona z przewagą żeńskich urodzeń spotykają się częściej i poligamja (wieloność) jest częstsza wśród plemion pierwotnych od polandrii (wielomęstwa).

Co się tyczy kobiety, to bodaj i ona nie została stworzoną do monogamicznego stosunku, ale jej organizacja fizjologiczna posiada pewne ograniczenie ze względu na jej cele macierzyńskie. Bo przedewszystkiem jej słabszy instynkt płciowy podobnie, jak trudniej podlega rozbudzeniu, (jakgdyby natura pozostawiła jej czas do namysłu w celach lepszego wyboru ojca przyszłego dziecięcia), tak też łatwiej zaspakaja się, gdy natura jest pewną swojego celu t. j. gdy nastąpiło zapłodnienie. Naogół organizacja kobiety jest cudowniejszą, niż organizacja mężczyzny i słusznie zwraca na to uwagę ów uczony ksiądz francuzki, który z zachwytem mówi o pełnych czarach mleka, przygotowanych zawczasu dla przyszłego dziecięcia — oraz Tolstoj, stający z podziwem wobec cudowności faktu urodzenia się dziecka, które niejako współpracuje z matką w momencie pojawienia się na świat.

Lecz cudowność ta nie kończy się na tem. Szerzy się ona na samice wielu gatunków zwierzęcych. Przypomnijmy sobie te samice, które po momencie zapłodnienia nie dopuszczają do siebie żadną miarą samca, stawiają mu zawsze zacięty i skuteczny opór, o ile samcom nie jest właściwy ten instynkt szlachetny, niestety, obcy rodzajowi ludzkiemu, że nie zaniepokoją przyszłej matki. W rodzie ludzkim natrafiamy na inny szczegół fizjologicznej analogji z tamtym. Oto jeżeli uścisk miłosny ojca poczętego dziecka powtórzony nie szkodzi jego rozwojowi, to mnogość stosunków z wieloma różnemi osobnikami niszczy zdolność do macierzyństwa.

Stosunki z wielu mężczyznami wyjała-

wiają łono kobiety i czynią ją niezdolną do macierzyństwa. Już naogół wydaje mi się szlachetniejszą miłość kobiety, która jakby w przeczuciu ciążyących na niej większych obowiązków i przyszłych cierpień ostrożniejszą bywa w wyborze typu męskiego na ojca swego dziecięcia, niż mężczyzna, niewolnik żądzy przelotnej, zadawniający się byle gatunkowym okazem. A tu przybywa jej nadmiar jeden jeszcze szczegół szlachetny: oto, o ile przestaje być wybredną, o ile godzi się na mnogość przypadkowych stosunków z pierwszym lepszym i z każdym pożądanym — jakgdyby w przeczuciu niebezpieczeństwa dla mogących ztąd powstać indywiduów o miernej wartości gatunkowej, natura odbiera jej prawo macierzyństwa. Nie odebrała ojcostwa mężczyźnie, ponieważ zabezpieczyła się dostatecznie przez odbiór analogicznego prawa kobiecie, a nie chciała przeszkodzić mężczyźnie w posiewie życia na innym gruncie. Odebrała to prawo kobiecie, ponieważ stosunek w okresie poczęcia dziecka z innemi osobnikami płci męskiej byłby zupełnie bezużyteczny ze względu na cele macierzyństwa.

A jakkolwiek rodzaj ludzki rozpoczyna swój żywot historyczny w grupach, na wzór zwierząt stadowych, a nie parami, jak np. lwy, żyjące w związkach monogamicznych — jakkolwiek to życie grupowe daje możność obcowania mężczyznom z większą ilością kobiet swojego plemienia — punkt zwrotny w kierunku monogamji tkwi właśnie w tej zdolności kobiety — matki przywiązania do siebie wybranego mężczyzny, tak samo jak punkt zwrotny ku naszej współczesnej prostytucji tkwi w tym fakcie antropologicznym, że kobieta, oddająca się wielu mężczyznom, staje się nieplodną. *Gdyby prostytucja była owocną, nie byłoby jej wcale.* Takim jest moje przekonanie.

A to wcale nie z tego względu jedynie, że trudno byłoby wyobrazić sobie kastę kobiet, narażających się na bóle macierzyństwa za grosze przygodnych panów ich ciała, ale dlatego że instytucja społeczna prostytucji ma na celu tak samo usunięcie rozrodu, jak małżeństwo jest instytucją, mającą przedewszystkiem na celu rozwój potomstwa pod opieką matek i ojców, na łonie rodziny.

IV.

Tak jest! małżeństwo jest instytucją, przedewszystkiem mającą na celu opiekę nad potomstwem. Wstępując w nie, mężczyzna dlatego tak uparcie domaga się

wierności od żony, chociażby sam nieraz grzeszył przeciwko ślubom, że godzi się przyjąć pod swoją opiekę tylko dzieci własne. Instynkt ojcowski nie jest tak pewny i tak naturalny, jak instynkt macierzyński, bo stosunek ojca i dziecka nie jest tak widomy. Instynkt ojcowski powstaje na stopniach wyższej kultury. Nieokreślony posiew życia zostaje zastąpiony przez pragnienie dziedzica, przez świadomą chęć utrzymania swojego rodu, swojego imienia.

Elementarny stosunek pomiędzy pierwotnym instynktem płciowym mężczyzny i rozrodczością gatunku w małżeństwie przeobraża się w stosunek pomiędzy świadomym pożądanym przedłużeniem swojego życia w rodzie i opieką nad zrodzonymi ze stosunku określonymi indywiduami.

Małżeństwo wprowadza ekonomię w sferę rozrodczości ludzkiego rodzaju. Teraz już nie chodzi o to, aby powstała masa dzieci, z których wielka część musi zginąć, a tylko pewna częśćka się uchwala, jako odsetka z ogólnego przyboru. Tą drogą kroczyła natura. Teraz chodzi o to, ażeby wszystko, co się urodzi, uchwalo się. Na tle małżeństwa pojawia się czuły stosunek rodziców do dzieci—jakkolwiek z początku jest on może surowym stosunkiem pana do ekonomicznie pomocnych mu małych niewolników. Ale podobnie jak z czasem ta żona, która została nabytą za pieniądze, uważa się za prawą małżonkę, i zyskuje, jako drogi nabytek, większe względy, niż wszystkie niewolnice a przygodne kochanki, tak samo dbałość ekonomiczna o potomstwo, którem można rozporządzać z czasem do robót domowych, przeobraża się w dalszym rozwoju na czułość ojcowską. Człowiek staje się ojcem, rozumnie obliczającym zyski z wychowania, a w kolei czasu stworzeniem etycznym, poznającym uciechy miłości ojcowskiej.

Nie z tego, co się urodziło, nie powinno zginąć. Ojciec płacze teraz nad kolebką chorego dziecięcia. Nie szczędzi dlań trudów. Łoży kosztą na jego utrzymanie. Pomaga matce materialnie w uchowaniu dziecka. Doskonalsza, dłuższa, większą miłością otchniona opieka doskonali indywidualności dziecięce. Gatunek ludzki nie tylko zachowuje się; on doskonali się przez lepsze utrzymanie i wychowanie. Rosną warunki materialnego dobrobytu i szanse wyższej kultury.

Tu pojawia się owa różnica pomiędzy warstwami mniej kulturalnymi a szczęśliwszymi szczytami społecznymi. Na dole, gdzie panuje nędza i ciemnota, czy to wśród

chłopstwa, czy wśród proletariatu żydowskiego, jeszcze rozrodczość bywa wielką i ród pomimo olbrzymiej śmiertelności zachowuje się tylko dzięki masie urodzeń. Na górze—ostrożność ekonomiczna, dbałość o to, aby jedne dzieci nie uszczupliły dóbr drugim,—zastosowują się prezerwatywy przeciw urodzeniu, właściwe stopniowi wyższej kultury—czasem oszczędność idzie nawet za daleko, bodaj ze szkodą zachowania narodu, jak to dzieje się we Francji z jej systematem „dwojga dzieci“ (*zweikinder system; Systhème de deux enfants*).

Tak człowiek, posłuszny celowi natury—zachowania gatunku, zastosowuje do tego celu swoje rozumowe sposoby, które z jednej strony zapobiegają zbytniej rozrodczości z nadmiarem śmiertelności, bolesnej dla czulszych serc rodzicielskich, z drugiej strony lepszą opieką, proporcjonalną do zebranych zasobów, i dłuższymi staraniami wychowawczymi posuwa kulturalny rozwój potomstwa.

A kto wie, może—niezależnie od względów ekonomicznych, które formowały instytucję małżeństwa—powstała ona ze względów moralno-naturalnych. Możliwą jest rzeczą, że nieograniczona w jedynym rodzie ludzkim, nie znającym pory parzenia się i granic instynktu, zdolność do aktów płciowych, miast pomnożyć płodność, w fatalnym ewolucyjnym przebiegu poczęła jej zagrażać. Może powstała ta rozpusta, która narażając na gwałt wszystkie kobiety plemienia od zabiegów miłosnych każdego z grupy, zagroziła wyjąłowieniem łona kobiecego, zaszkodziła rozwojowi przyszłych pokoleń, a ztąd narodziła się konieczność ochrony kobiety, nadania jej pewnych praw do mężczyzny, który ją posiadał i nałożenia wędzidla żądrom męskim— a na tej drodze zrodziła się instytucja małżeńska, która zapewniła bardziej ciągłość rodzaju, niż rozpustny promiskuityzm, czyli wspólność wszystkich kobiet w grupie plemiennej.

Słowem, instytucja małżeńska przyjmuje na siebie równocześnie obowiązek utrzymania rodzaju i rozumnej regulacji urodzeń w stosunku do dóbr ekonomicznych otaczającej natury. Bierze ten obowiązek na siebie pod hasłem: „niechaj się rodzi mniej dzieci, ale niechaj mniej ich umiera! niechaj wszystko zrodzone cieszy się życiem jak najdłużej!“ — zasada, która od szczytów kulturalnych schodzić będzie wraz z wyższem uświadomieniem w nieszczęśliwe niziny życia, gdzie śmierć tak wiele kosi, bo tak wiele rodzi się owej dziatwy, co — według wyrażenia poetki —

daremnie poglądała oczyma,
czy w komorze kęsa chleba gdzie niema!

A rozum, przenikający w stosunki płciowe, równocześnie w celach ograniczenia urodzeń, które nie mogłyby liczyć na pomysłny rozwój, doprowadza do ograniczenia wieku zawarcia małżeństwa; młodzież warstw ukształconych, później rozwijających swoje zdolności zarobkowania, z konieczności wystrzega się ślubów, które wydałyby potomstwo bez warunków egzystencji materialnej!...

Tak powstaje instytucja małżeńska — szanowna przez swój protest przeciw rozpucie — szanowna przez swoje zobowiązania moralne — szanowna przez nakaz wierności kobiecie w celach opieki nad kobietą — szanowna przez stałą gwarancję dbałości nad dziećmi ze strony obojga rodziców — podniesiona do godności sakramentu, aby wszystkie te obowiązki moralne były stale i pewnie zachowywane — używająca kary piekielnej na głowy łamiących śluby w poczuciu wielkości pokus, czyhających zewsząd na ludzi nieurobionych moralnie. Potęga nakazu społecznego czarem błogosławieństwa i grozą kary zagrobowej przeciwstawia się brutalności i lubieżności mężczyzny oraz lekkomyślności i zalotności kobiety. Kościół idzie dalej. Wyklina nawet samą żądzę cielesną — wymaga celibatu od ludzi prawdziwie uduchowionych, pragnących służyć całej ludzkości, umiających wyrzec się osobistego szczęścia — je-
no słabszym duchem folguje: nie mogą-
cym się „strzymać“, jak mówią księgi Apostolskie, zezwala na małżeństwo — wszelako wiążące aż do grobu i mające prze-
trwać nawet po za grób. Bo co to byłby za święty sakrament, gdyby związane pod błogosławieństwem nieba, dawało się tak łatwo rozwiązywać?..

Tak ekstaza ascezy chrześcijańskiej, wykwitłej z pnia judejskiego, ale przeciwstawiająca się nakazom judejskiej płodności, rozumniejszym w zasadzie, ale bezrozumniejszym w drobiazgowej regulacji aktów płciowych i nieregulacji ilości urodzeń — (jedno ze źródeł nędzy żydowskiej) — tak owa ekstaza napelnia nowym idealistycznym duchem instytucję małżeńską; zmuszona, gwo-
li potrzebom naturalnym, ustą-
pić coś ze swojej surowości, może dlatego, że pada na zdrowszy grunt natury pogańskiej, oczyszcza obcowanie płciowe z grzesznego fermentu przez podniesienie go na stopień sakramentu w obliczu błogosławieństwa Bożego!...

Tak powstaje małżeństwo nowożytne —

a oto jak pod jego boki-
em zamieszkuje
prostytucja.

V.

Instytucja socjalna — wzięła na siebie za-
chowanie gatunku wraz z mądrą i etyczną
regulacją akcji rozplodczej.

Ale fizjologia człowieka nie zdążyła się
zmienić. Prawa organizacy zachowują swo-
ją twardość, która nie pozwala im dość
szybko pospieszyć za psychologią, tworzą-
cą uszlachetnione instytucje socjalne. Męż-
czyzna pozostał nadal bestją, dręczoną przez
demoną żądz, szalejącą z nadmiaru siew-
nych pierwiastków, które natura, jako
swo-
j-
zapas, złożyła w jego ciele. Kobieta
pozostała nadal tym biernym gruntem, któ-
ry może przyjmować posiew każdej chwili
z uległością dla momentu wybuchającej
żądzy męskiej.

I oto z jednej strony — młodość męzka,
skrepowana przez rozum ekonomiczny w
prawie zakładania rodziny, czuje ten napór
potężny sił siewnych, który z taką trudno-
ścią poddaje się rozkazom świadomości
mózgowej, bowiem związany jest z kiero-
wniczymi sprężynami mózdzku i rdzenia
pacierniczowego. Z jednej strony dojrzałość
męzczyzny, w poczuciu obowiązku społecz-
nego wobec kobiety, która nosi owoc jego
miłości i staje się dlań w pewnym okresie
czasu niedostępną, przed i po urodzeniu
dziecka — uczuwa przykre więzy ślubów
i słyszy w głębiach swojej istoty okrzyk
instynktu płciowego: „zadowolnij swoje po-
żądanie!“ z jego sensem ukrytym dla świa-
domości: „mógłbyś jeszcze płodzić“.

Z drugiej strony, kobieta — słaba, opusz-
czona, wyzyskiwana ekonomicznie przez
silniejszego męzczyznę, zresztą mniej płat-
na, jako mniej produkcyjna wobec suro-
wych praw ekonomii społecznej, nie pyta-
jącej o jej fizjologię, o trudności okresu
macierzyństwa — posłuszna nakazom in-
stynktu zamożowawczego, występuje na
plac publiczny ze swoją gotowością służe-
nia żądzy męskiej.

Cały nadmiar przygotowanych na zapas
przez naturę pierwiastków siewnych skie-
rowuje się na drogi prostytucji, w kanały
nierządu, w kałużę rozpusty. Przepada
tam, nie wydaje niepotrzebnego zbytku
ludności, która nie znalazłaby utrzymania.
Męzczyzna pobudzony na chwilę słucha na-
kazów żądz — ale nie płodzi. Kobieta
zimna oddaje się, ale przestaje reagować
fizjologicznie i uczuciowo na obrażający
nadmiar podrażnień przygodnych ze strony
pierwszego lepszego, a raczej całej masy
pierwszychlepszych — oddaje się, ale nie rodzi.

d. c. n.

Małżeństwo i prostytutka.

Odczyt L. Belmonta, wygłoszony w sali Filharmonii dn. 9 Grudnia 1908 r.

(Dokończenie).

Tak powstaje pod bokiem małżeństwa nowa, dopełniająca instytucja socjalna, która wynajduje nowy nieprzewidziany wcześniej w państwie zwiercem i w dawniejszych okresach dziejowych życia ludzkiego sposób niszczenia nadmiaru pierwiastków siewnych. Powstaje instytucja *par excellence* ludzka, jakkolwiek obchodzi się ona nie-ludzko z kobietą i zniża mężczyznę na szczebel lubieżno-brutalnego zwierzęcia.

Instytucja nierządu — pohańbiona socjalnie i socjalnie tolerowana, deptana psychologicznie i psychologicznie uwzględniana, zbyt uczciwa ze względu na cele fizjologiczne i uznawana za konieczną ze względu na fizjologiczne środki!

Następuje owa akcja płciowa — bez rezultatów.

I oto natura — ta sama natura, która tak wiele zimno zabija, tak często zimno zabija i tak często sama wstrzymuje rozwój — sroży się.

Tak jest, ona się gniewa! Człowiek ją oszukał.. Mężczyzna zwiódł ją, ponieważ bierze uciechę fizyczną, ale nie płodzi. Kobieta zwiódła ją, ponieważ poddaje się uściskom, ale nie pełni obowiązków macierzyństwa.

I natura *mści się*...

Człowiek mówi do niej: „czego chcesz odemnie?... Czyliż nie wypełniłem twoich celów? Czyli nie słucham ich na drogach małżeństwa? O ty, płodna macierzy, która sama tak wiele niszczysz, pozwól mi niszczyć nadmiar twoich środków moimi socjalnymi sposobami.”

Natura odpowiada:

„Oszukałeś mnie nie co do celów moich, ale co do moich sposobów.”

I mści się na tysiące sposobów — na drogach fizjologicznych, psychologicznych i socjalnych.

Mści się fizjologicznie — bo ów nadmiar zbyt uczciwych z punktu widzenia celowości stosunków płciowych, bo nadużycie zdrowia kobiety, bo łatwa rozpusta, nie podejmująca żadnych obowiązków na przyszłość, nie wydająca nic — stają się terenem chorób wenerycznych, olbrzymim rozsądnikiem zarazy. Może to słowo „zemsta natury“ wyda się komuś zbyt mistycznym, ale niech sceptycy pomyślą tylko, jak srogo mści się

jeszcze sroższy z punktu widzenia natury grzech — grzech biblijnego Onana... szybkością i ogromem *skomplikowanych* zaburzeń, których mocy — mojem zdaniem — nauka dotąd przyczynowo nie wytłumaczyła, o ile się nie zgodzimy z Montegazzą, że tak zwanej „miłości samotnej“ braknie prądów elektrycznych, wytwarzających się w uścisku dwojga płci.

Fizjologiczna mściwość natury stanie się widomą dla tych, którzy pomyślą o pogwałceniach psychicznych, wywoływanych przez lada dolegliwość płciową — o komplikowaniu się chorób płciowych przez konsekwencje, zagrażające nieraz całemu organizmowi, a bodaj życiu — o surowości zwłaszcza tej choroby, która skrada się chytrze, najmniej widocznie, bezboleśnie, a jest w swoich skutkach najgroźniejszą, po dziesiątku lat uderza na mózg obłędem... i pożera szybko, nawet genjusze. Jest to mściwość nieubłagana, zacięta, ślepa z wściekłości, bo przerzuca się z bagien nierządu przez niewierne mężczyzny w czyste łono niewinnej żony i na oczy nowonarodzonego dziecięcia, jakby wołając głosem okropnym: „znieście nierząd, który karze... nawet niewinnych za grzechy społeczności.”

Mści się fizjologicznie znieważona natura na kobiecie prostytutce, odbierając jej uczucie rozkoszy, lub dając rozkosz chorobliwą, i ją zwłaszcza wystawiając na pewną niemal ofiarę zarazy.

Mści się psychologicznie, czyniąc z rozkoszy płatnej tylko surogat uciechy. Mężczyzna, przyjmowany przez nierządnicę, ale równocześnie odpychany przez jej wstręt, przez niecierpliwe oczekiwanie momentu zapłaty, przez jej chłód lub fałszywy zapal — nie znajduje pełnego zadowolenia w kałużu prostytutce. Uciecha płciowa mężczyzny w nierządzie nosi charakter raczej negatywny, niż pozytywny. Uwalnia ona od bólu pożądania upustem napiętych sił — nie więcej. Nie dając podniecenia pełnej istoty — przez zatrzymujące uczucia wstrętu, zawstydenia, obawy chorób — więcej nuży, niż ukaja. Brakom energii psychicznej towarzyszy większa siła wyczerpania. Na domiar rozkosz prostytutka — kryje się w zaułku, zmuszona jest wstydyć się siebie, ma wygląd zbrodni i błoci sumienie.

Co do kobiety, nierząd wyniszcza w jej duszy kwiaty myśli i uczucia, czyni z niej bezmyślną niewolnicę żądzy męskiej, wdeptuje jej istotę duchową w kał.

Nie dość na tem!

Na drogach psychologicznych zemsta natury wkracza na teren socjalny.

Zaraza utrudnia nieraz związki ślubne

mężczyźnie z kochaną kobietą. Jego niewierność zatruwa mu sumienie, odbiera spokój w pracy, zabiera miłość żony, rzuca ją niekiedy w cudze objęcia, daje mu zgnile, skrofaliczne pokolenie, albo czyni go nieplodnym na skutek chorób młodości.

Kobietę deklasuje ostatecznie — zamyka przed nią drogi do szanowanej pracy.

Czy natura ma prawo mścić się — ona, co wydała żądze?... I czy nie mści się zbyt okrutnie?

Na to pytanie odpowiedzieć zdoła tylko ten, kto rozumie ostateczne cele natury.

Wszelako, nawet z uwzględnieniem jej zaciekle - ślepej mściwości, — mamy zasadę do przypuszczenia, że w ostatecznej rachubie, jeżeli chodzi o przyszłość ludzkości, nie jest ona zbyt okrutną.

Po pierwsze dlatego, że wytwarza w ewolucji psychiki indywidualnej cudowną rekompensatę swojego okrucieństwa.

Powtóre, że w ewolucji psychiki społecznej stwarza etyczne korektywy.

Podniesienie uświadomionej natury w człowieku zwolna, ale stanowczo, pracuje nad zniesieniem nierządu.

Żeby to zrozumieć, trzeba pojąć, jak się rodzi w społeczeństwie prawdziwa miłość — miłość dwojga ludzi względem siebie i miłość wszystkich dla wszystkich.

Temu wspaniałemu tematowi musimy poświęcić chwilę uwagi.

VI.

Idealem kobiecym pogańskich społeczeństw może była Fryne, zrzucająca szaty w obliczu areopagu, olśniewająca oczy sędziów harmonją przepysznych kształtów i wrażeniem zmysłowej piękności wygrywająca proces o bluźniercze naśladownictwo w obliczu zgromadzonego ludu Wenery, powstającej z pian morskich.

Idealem kobiecym społeczeństw chrześcijańskich może jest raczej Beatrycze, ukochana pani Danta, prowadząca ducha poety na gwiazdy, zmarła przedwcześnie, a nigdy za życia nietknięta znikomym ludzkim uściskiem.

Oba ideały są piękne, bo oba są jednako ludzkie — jeden, jako ideał ludzko-zwierzęcy, drugi, jako ideał ludzko-anielski. Ale człowiek ani nie powinien być zwierzęciem, ani nie może wyrzekać się swojej fizycznej istoty — a przeto jego ideał przyszłościowy powinien dążyć do harmonijnej syntezy obu ideałów, Fryny i Beatryczy.

Bo gdzie ideałem jest Fryne, tam jedno ostąpienie się może zepchnąć człowieka w przepaść brudnych żądź, i uczynić zeń by-

dlę, zaprzężone w jarzmo zmysłowości. Gdzie ideałem jest Beatryks, tam jeden podmuch skrzydeł w górę, unosi człowieka w pustą przestrzeń ascezy, gdzie brak powietrza dla oddechu, gdzie despotyzm ducha gasi rumieńce twarzy, zabija ciało.

Poszukiwany punkt równowagi znajduje się w prawdziwej ludzkiej miłości — w tej miłości, która jest lekiem na ból samotności człowieka, która daje mu najwyższe zespolenie z drugą istotą w harmonji zmysłów i uczuć, potrzeb fizycznych i duchowych, w udoskonalonym wyborze indywidualnym, który zaprzysięga wiarę aż do grobu a nawet po za grób, który siłą pociągu przyręka doskonale wcielenie się rodziców w nowe istoty, stałością przywiązania zapewnia pogodę i spokój, szczęście osobiste.

W miłości instynkt płciowy wstępuje na szczeble idealizacji. Wyidealizowany zarzuca przed oczarowanymi oczyma zasłonę na poziomność fizyczną aktu. Nie jest wstrętny, bo jest naturalny. Nie razi, bo koi tęsknotę, napędza zadowoleniem. Zacierza pamięć o zwierzęcości funkcji, bo rozkosz fizyczną wzbogaca o całą skalę tonów duchowych. Zmysły pomnożone są przez serca. Myśli idą w parze z pociągami. Elementarna żądza przechodzi w zawilą psychologicznie miłość — czas przekuwa ją złotym mieczem na przywiązanie. Gasną z miłości ognie pragnień, pozostaje ciepły szacunek i wdzięczność przyjaźni...

Oczywiście maluję wam ideał miłości. Do tego ideału kultura psycho-socjalna zdąża bardzo powoli, napotykać na swojej drodze mnogie zawiady — w atawizmie zwierzęcych żądź i w utrudnieniach ekonomicznych warunków życia.

Bo i jakże znaleźć współcześnie entuzjastyczny zapal Romea i Julii i wieloletnią wierność Penelopy lub latającego Holendra. Jak pogodzić prawdę nagłego wybuchu, w której odzywa się — zdaniem Schopenhauera — gwarancja doborowego potomstwa, ze stałością, która wydaje się możliwą jeno jako owoc dobrego wyrachowania i rozumnej ostrożności wyboru. A czy nie wypada stąd, że gorący kochankowie wydają doskonale fizycznie potomstwo i rozlatują się, jak liście jesienne, po pierwszej kłótni, a para zimnych egoistów ziewa przy sobie w szczęśliwej harmoni, liczy skrzętnie zyski mężowskie i procenty z posagu żony i wychowuje cherlacze potomstwa?... Leczą troskę o pogodzenie psychologicznej i socjalnej strony miłości, szczęścia małżonków i doskonałości potomstwa, troskę już wziętą na swoje barki przez literaturę

wszechświatową, pozostawmy mądrymu czasowi!

Na teraz pragnę pokazać wam, jak przeszłość i teraźniejszość pora się z tą pracą, jak wykuwa ona przyszłość związku męskiego i kobiecego w żarze miłości na kowadle ślubów kościelnych młotem kultury etycznej.

Oto rzucę przed wasze oczy paradoks, który jest tylko niezwykłą prawdą.

Miłość — prawdziwa miłość — rodzi się po za małżeństwem... ale dzięki małżeństwu; po za kościołem... ale dzięki kościołowi

Wie o tem każdy, kto zna historję pieśni trubadurów, miłosnych sądów średniowiecza, turniejów, na których czysci rycerze nosili barwy swoich dam serca, ślubujących im miłość bez oddania, a posłusznych mężom bez miłości. Powiedzą wam o tem coś pieśni prowansalskie.

Nasza dzisiejsza miłość — idealna, platoniczna, a wściekająca się z głodu, powoli upadająca i domagająca się szerszych praw i uznania od opinii — urodziła się przede wszystkim, jako miłość zameżnej kobiety dla jej platonicznego kochanka.

Urodziła się z wielkiej tęsknoty w niewoli u swojego pana, który więził żonę na zamku, a wyjeżdżając na dalekie boje wzmacniał wiążącą siłę stuleży ordynarnym pasem wierności. Ten brutalny zabieg rzadko bywał potrzebny. Kobieta dręczyła się w niewoli, ale ona pierwsza i bodaj ona tylko sama uwierzyła głęboko w sakrament małżeński — i nie zdradzała. Kochanek śpiewał i płakał pod jej balkonem — ale musiał szanować jej świętą wolę. Nie śmiał być zwierzęciem wobec anioła.

Gdyby nie tęsknota w więzach ślubnych — nie urodziłaby się miłość. Ale gdyby nie te śluby kościelne, nie urodziłaby się idea wierności w małżeństwie.

Więc nasze myśli poprzednie domagają się uzupełniającej poprawki. Po za kościołem rodzi się wielka tęsknota i żar miłości. W kościele wykuwa się inny jej pierwiastek — idea o wierności mężczyzny i kobiety — stałość ślubów płciowych.

Miłość zameżnej kobiety średniowiecza dla swojego czystego rycerza-śpiewaka — to pragnienie włożenia nowej treści stosunku zakochanych w formę zaprzysiężonego sobie ślubu, stworzonego przez Kościół dla pary małżeńskiej.

„Wiążę!“ — mówił kościół. „Kocham“ — odpowiadała umęczona dusza — i marzyła o więzach, przyjętych przez miłość dobrowolnie.

A opinja szła z wolna, ale coraz pewniej tą drogą. Coraz mocniej domagała się aby „wiąże“ następowało po „kocham“, aby nawet następne „nie kocham“ dawało możność rozwiązania węzłów. Coraz mocniej wybijało się w świadomości społeczeństwa owo:

Serce — to nie sługa; nie wie, co to pany, Nie da się przemocą okuć w kajdany...

Córki wyzwalały się coraz bardziej z pod despotyzmu rodzicielskiego. Surowy rozkaz ojca zastępowała rada matki — czasem protest córki.

Ewolucja ta nie jest jeszcze skończona. Ale cokolwiek można powiedzieć o kajdanach, ciążących jeszcze na sercach ludzkich, tylko umysłowy niedorozwój i nieznajomość procesów historycznych tłumać tych, którzy zgruba przeciwstawiają ideały „wolnej miłości“ surowości kościoła, nie rozumiejąc, że dobrowolność przysięg i zdolność do długich przywiązań i zasada wierności i szacunek małżeński i to wszystko, co nazywają w miłości świętością i obowiązkiem — jest nabytkiem epoki formowania się więzów ślubnych pod sklepianiami świątyń, pod błogosławieństwem duchownych. Wszystkie więzy duchowe są przykładem z języka więzów fizycznych; wszystkie obowiązki moralne są dziedzictwem przepisów moralnych. Duch ludzki urabia się w formach, które rozbija... kiedy dojrzał dostatecznie; jak ptak rozbija skorupę, kiedy zyskuje moc samodzielnego ruchu... Dzisiejszy ślub cywilny jest dzieckiem daleko wcześniejszych kościelnych, a jeżeli zabija je, to dla tego, że ojcobójstwo idei jest prawem życia ludzkości.

Ale niechaj strzegą się zamachu na tradycję ci, którzy nie dość postąpili naprzód. Tradycję zabija się zewnątrz, gdy najlepszą jej treść ma się wewnątrz. Nie opuszcza się brzegu stopą przed zbudowaniem mostu. Inaczej ludziom i ludom grozi zguba...

Ale przerwijmy tę dygresję, potrzebną raczej społeczności naszej w dzisiejszym zamęcie myśli i kłótni wszystkich z wszystkimi — niż słuchaczom naszym dla dalszego rozwinięcia naszego tematu. Wróćmy doń.

Miłość, szczęśliwie trafiająca się w małżeństwie, dająca szczęście zarówno rodzicom jak i dzieciom — oto ten szlak kulturalny, który stanowi cudowną rekompensatę uświadomionej natury w człowieku za mściwą grozę, którą rzuciła natura na szlaki prostytucji.

Pięknem po stronie jednej instytucji

pragnie ona znieść zabłąkanych po stronie drugiej. Ohydą po tej drugiej stronie popycha ich na pierwszą. Odejmuje tak wiele prostytucji, aby tak wiele dać małżeństwu.

Tu psychologiczna mściwość natury staje się niesłychanie subtelna.

Prostytucja młodzieży męskiej przed małżeństwem zdaje się — w wypadkach szczęśliwego uniknięcia choroby — zjawiskiem, nie pozostawiającem śladu. To fałsz!.. Zostaje ślad na duszy. Pomniejsza się ilość szczęścia w przyszłej miłości. Zwłaszcza im dusza ludzka jest subtelniejszą, tem mocniej uciechę małżeńskiej łóżnicy każą jej wspomnienia brudnych uścisków. Przypomnienia takie stają się niekiedy tragedją duszy męskiej. W pomroku nocnym przepada twarz ukochanej żony i przez pryzmat najlżejszej analogii fizycznej przebłyскуje wizja prostytutki. Widmo nierządniczy zawieszają się na ścianach sypialni małżeńskiej i mąci szczęście kochającego męża. Kobieta, czysta i niewinna, nie widzi takich zjaw potwornych i bywa szczęśliwszą w małżeństwie, kiedy kocha prawdziwie.

Podobnież, to prawda, jeżeli chodzi o rezultat, że „grzech mężczyzny po za domem jest niby chuchnięcie na szkło, gdy grzech kobiety zamężnej w jednym momencie wprowadza pod dach rodzinny bękartą“ — ale psychologicznie jest to prawda niezupełna. Niewierność mężka, nawet jeżeli nie wnosi do domu choroby i nie zatrzuwa twardego pod względem poglądów płciowych sumienia — to w każdym razie trwonieniem energii płciowej po za domem i sprowadzaniem uciechy zmysłowej na poziom gatunkowego zadowolenia, osłabia miłość fizyczną dla żony, w następstwie swoim osłabia duchową wobec istoty mniej potrzebnej — a prawem odbicia ochładza stosunek żony do męża i psuje szczęście obojga.

VII.

A i jakież są z tego wszystkiego wyniki etyczne?

Nie lubię moralizowania. Nie chcę wywoływać nawet pozornie wrażenia owego taniego a najczęstszego typu moralistów, których „cała cnota — w ponurej twarzy i wejrzeniu kota“, lub tych, co to „każą ludowi o wodzie, a w cichości spijają wino“.

Ale zdaje mi się, że moja teoria wspiera się na podstawach naukowych i że to ona mówi do was:

Uświadomiona w człowieku natura, która poznała cele instynktu płciowego — zachowanie rodzaju i uszlachetnione szczęście rozkoszy fizycznej — w prawdziwej miło-

ści musi cofać się z dróg prostytucyjnych, gdzie działa bez celu i znajduje podłą uciechę, poniżającą wraz mężczyznę i kobietę. Ten nadmiar sił płciowych, który zużywa się bezpłodnie na drogach prostytucyjnych, odgrywa rolę szczątkową. Upodabnia on człowieka do zwierzęcia, będącego ślepą igraszką w rękach przyrody — i musi być poskramiany przez siłę woli, przez kulturę ducha, przez miłość dla piękna i wstręt do ohyd, przez ból nad poniżoną godnością kobietą.

A kto z tej młodzieży, która kocha w sobie ducha, odkryje jeszcze jedną wielką tajemnicę natury, że istnieje pewna proporcja stosunku odwrotnego pomiędzy służeniem rozpędowi instynktów gatunkowych i służeniem rozwojowi duszy indywidualnej — ten od młodu pracować będzie nad wyrobieniem w sobie siły odpornej przeciw chuciom. Bo zepsucie jest tylko przyzwyczajeniem. Niejeden szlachetny młodzieniec, gdyby wiedział, że trwoniąc najszlachetniejsze soki — boć te, które służą do odnowienia ludzkości — tem samem uszczupla swoje siły umysłowe, w pierwszym rzędzie pamięć, w drugim świeżość wyobraźni — zatrzymałby się pewnie na pochyłości.

Może na umysłach genialnych nie znać niszczącego siły twórczej myśli śladu rozpusty, bo geniusze przynieśli tak wiele na świat, że ubytek zdolności nie jest ogółowi widoczny. Ale tępota mnóstwa ludzi przeciwnych znajduje się w prostym stosunku do ich nieumiarkowania i do wczesnego trwonienia siły płciowej. Rozpustnik wprowadzie udaje tylko, że płodzi — ale jego niezrodzone potomstwo zabiera mu te skarby sił, których mógłby użyć do nadania blasku swojej duszy. Dusze rozpustników rzadka nie noszą piętna — podłości, bo nigdy nie są zdrowe.

Słowem, etycznym wskaźnikiem dla mężczyzny z naszych założeń jest kultura woli, myśli i uczucia.

Co się tyczy kobiety — to tu społeczność niemniej ma do roboty. Kobieta, sprzedająca ciało, rzadka ulega lenistwu lub chorobliwemu temperamentowi, najczęściej nęczy. Jak bardzo opiera się tej hańbie, dowodzą tysiące kobiet, których pracę tak źle się opłaca, a tak mało szanuje, jednak one wolą najnędzniejszą, najcięższą pracę, niż łatwy chleb z kałuży. Więc społeczność musi podnieść ekonomiczną pozycję kobiety, musi równouprawnić ją w zarobkowaniu z mężczyzną; więcej jeszcze, słabszej fizycznie, a grającej ważną rolę matki przyszłych pokoleń, winna ona czulszą,

specjalną opiekę prawną — przynajmniej w okresie ciąży.

To wszystko społeczeństwo musi zrobić, bo jednego zrobić nie może. Nie może usunąć deklacji całej kasty prostytutek i pewnego milczącego zażenowania wobec nieładnych praktyk mężczyzny — bo te dwa czynniki psychologiczne służą rozwojowi etyki społecznej i celom natury — kładąc przez kontrast akcent szlachetnej aprobaty na uczuciu miłości i akcent szlachetnego szacunku na rodzinie, która jest skrzydłem opiekuńczem dzieci.

Uszlachetniony mężczyzna i zabezpieczona kobieta — oto most do usunięcia nieładu.

*

Mógłbym, na tem skończyć, ale jeszcze mi nie wolno, bo wiem, że w momencie rozejścia tysięcy głosów ozwałoby się w waszej duszy — rzuciłoby na opróżnioną mównicę dręczące znaki zapytania.

Tak wielka surowość imperatywów etycznych oraz olbrzymia trudność przeobrażeń socjalnych — nie może was zadowolnić. Zbyt jesteście świadomi słabości natury ludzkiej i powolności ewolucji socjalnej, ażebyście nie mieli zapytać:

— A dziś, co?... Czyż nie powiedziałeś nam, że mężczyzna z natury jest rozsiewcą pierwiastków życia, że nie był przez nią stworzony do monogamji, że jako taki otrzymał zbyt hojny temperament, że żyje w nim bestja żądry, którą trudno tak od razu ujarzmić. Malujesz nam idealne perspektywy stałego związku miłości, ty, który wiesz dobrze o tem, ile jest małżeństw nieszczęśliwych, a ile wśród tak zwanych szczęśliwych jest małżeństw prostytucyjnych z „rozsądnej” pogoni za stanowiskiem męża, za posagiem żony. Mówisz o małżeństwie ty, który wiesz, jak trudno jest bez środków założyć rodzinę i jak niebezpiecznie jest wytwarzać proletarijuszów i jak nie łatwo jest napotkać szczerę, kochające serce. Bo i czyż każdy zasługuje na miłość? i czy każdy umie kochać?...

„I powiadasz nam o nieszczęściu kobiety,

która ulega pod brzemieniem nędzy.. i wiesz o tem, jak często cierpi pod znakiem hańby a nie mogąc znaleźć wyjścia z kałuży na drogi pracy, biegnie obłądana nad brzeg rzeki, lub chwytą czarę trucizny.

„Wszystkiego wymagasz — nie-że nie darujesz — i pozostawisz z piętnem hańby na czole wijącą się w mękach żądry słabość mężczyzny i wijącą się pod obuchem nędzy słabość kobiety?..“

Nie, nie uczynię tego...

Nie uczyniła też tego natura, która w uświadomionym człowieku wstępuje na rosnące w górę szczyble rozumu i etyki.

Spółeczność znajduje korektywy dla swoich zbyt surowych potępień.

I pierwszym korektywem — fizjologicznym — jest szlachetna nauka medycyny, która leczy zarazę.

A drugim korektywem — socjalnym — jest prawo mędrzych społeczeństw, które ułatwia rozwód tym, co się omylili, i daje im możność szukać szczęścia osobistego w innym związku, gwarantując przecież opiekę dzieciom z pierwszego małżeństwa.

A trzecim korektywem — psychologicznym — jest dobre serce kobiety, które zapomina i wybacza. Zapomina narzeczonemu jego przeszłość i wierzy w przyszłość. Wybacza mężowi jego zapomnienie, ufając skrusze. Owo serce żony, które łączy w sobie serca matki, siostry i kochanki!

A najwyższym nad wszystkie korektywy, dla którego brak mi imienia, tak jest podniosły albo mam jedno tylko imię — korektyw *Boski* — jest ów sentyment Chrystusowy, który wciela się w dusze wielkich artystów, w duszę Viktora Hugo, kreślącego postać nieszczęśliwej Fantiny i w duszę Dostojewskiego, malującego losy biednej Soni — ten imponujący sentyment Chrystusowy, który powiada o jawnogrzeźnicy: „Kto z was jest bez grzechu niech rzuci na nią pierwszy kamieniem“ — to serce Chrystusowe, które wyprzedziło swoją mądrością przebaczenia o 2000 lat całą naszą mądrość socjalną!...